

Język na usługach władzy

30 czerwca 2010

Zdarza się, że politycy mówią od rzeczy. Zdarza się, że mówią o niczym. Lub wprowadzają w błąd. I zdarza się, że nikt tego nie zauważa.

Język to twór niesłychanie plastyczny. W naturalnych warunkach jego użytkownicy dążą do ekonomizacji, czyli najprościej ujmując, minimalizacji form językowych dla wyrażenia żądanych informacji. Czasem jednak świadome unikanie tej naturalnej tendencji motywowane jest wywołaniem określonego wrażenia – częste zjawisko w przypadku przemówień, bądź w ogóle na scenie politycznej. Niestety, nie można tu liczyć na kreatywny aspekt języka, nie od dziś bowiem wiadomo, że związki języka z polityką są przeróżnie motywowane, a cała kwestia pozostaje niezwykle subtelna.

Tyle tytułem wstępu, który nie jest wcale fragmentem pracy lingwistycznej, a stanowi komentarz do sytuacji na rodzimej scenie politycznej. Wydawać by się mogło, że nowomowa została w większym stopniu wykorzeniona z życia politycznego po upadku PRL-u, a przyszłe pokolenia będą uczyły się tego pojęcia czytając " Rok 1984".

Niestety, jakość dialogu prowadzonego na scenie politycznej, głównie w obliczu nadchodzącej II tury wyborów może irytować wrażliwszych na słowo. Żonglerka nomenklaturą historyczno-polityczną (lewica, komuniści, postkomuniści, socjaliści – wyborcy w dowolne miejsca mogą wstawić znak równości), polityka „połowiczności” – najbardziej konserwatywna partia w Polsce uważa, że ma w sobie domieszkę lewicy – to zaledwie początek długiej listy manipulacji słownych. Manipulacji, bo do nimi stają się z czasem i puste frazesy, które tolerować zdawał się przedstawiciel jednego ze sztabów wyborczych, twierdząc, iż „zbyt dużą wagę przywiązujemy do języka”.

Propaganda słowna nie jest w nowoczesnym państwie demokratycznym problemem priorytetowym, ale stanowi zagrożenie dla każdej suwerenności. A i ze zwykłym pustosłowiem trzeba walczyć, nie doszukiwać się ukrytego sensu.

Autor: Anna Władyka

Źródło: [iThink](#)